

Czerwony Lenin roztacza hipnotyczny urok, jak w ikonie malowanej ręką mistrza obraz odrywa się od realnego desygnatu i staje się oknem do innej rzeczywistości, do jedynie realnego świata permanentnej zmiany, do świata nieustającego procesu kreacji i destrukcji. Demoniczna czerwień pulsuje, ujawniając energię kosmicznych procesów. Chcemy już wyjść, uciec jak najdalej. Ale daremnie, przecież jesteśmy „nigdzie”, dokąd dotarliśmy z miejsca, które choć jest, to nie istnieje. A poza tym powrotny czerwony wagonik odjedzie najwcześniej nazajutrz rano.

Napisane wspólnie z Ołeksandrem Iwańcem, ukraińskim pisarzem, dramaturgiem i satyrykiem, współzałożycielem legendarnej grupy „Bu-Ba-Bu” jako prolog wspólnego projektu literackiego „Polowanie na Czerwonego Lenina”, zainaugurowanego we Lwowie 19 września 2004 roku.

II. LOGOS:

WIELOŚĆ I WŁADZA

Lenin żyje. Nasi nauczyciele z lat komunistycznej szkoły mieli rację, myśl wodza rewolucji jest nieśmiertelna. Wydawało się, że ostateczny cios zadał jej rok 1989. A potem osinowym kołkiem wbitym w truchło wampira miał być rozkład Związku Sowieckiego. Na tym jednak polega geniusz, że artykułuje myśl niezależną od konkretnego projektu. Wielka myśl jak święta ikona jest oknem do innego świata, do świata wiecznego i rzeczywistego, wolnego od przypadkowości i przygodności codziennego, pozornego życia. Lenin żywy, to Czerwony Lenin Warhola z Medzilaborec, a nie historyczny Lenin z Poronina, to ikona pop-kultury, symbol ponowoczesnego kapitalizmu, a nie ascetyczny despota.

Lenin-rewolucjonista, kiedy jeszcze nie był wodzem państwa radzieckiego sformułował kilka kluczowych punktów komunistycznej doktryny, których później, jako wódz realnego państwa zrealizować nie

mógł. Po pierwsze zreinterpretował Marksa i stwierdził, że nie ma przeszkód, by rewolucja wybuchła w kraju cierpiącym na niedorozwój kapitalistycznych sił wytwórczych. Nie przejmował się, że rosyjskiemu rolnictwu daleko było do wysokiego utowarowienia niezbędnego dla późniejszej skutecznej akumulacji kapitalistycznej i transformacji pracowników ziemskich w mobilną siłę roboczą. Stwierdził w twórczy sposób, że niektóre etapy ewolucji systemu społecznego, jakie przechodził Zachód można przeskoczyć, skracając drogę do sukcesu. Myśl Lenina rozwijał później Mao Tse Tung, uznając że rewolucję komunistyczną mogą zrobić chłopci.

Produktem tych płodnych dociekań i społecznych eksperymentów, jest teoria „żabiego skoku” (*leapfrogging*), z takim entuzjazmem podjęta w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia przez neoliberalnych teoretyków Nowej Gospodarki. Uznali oni, że przeżywana właśnie rewolucja technologiczna, zmieniająca gospodarkę z przemysłowej na informacyjną zwalnia z konieczności powtarzania etapów kapitalistycznej ewolucji społecznej, jakie przechodziły kraje rozwinięte. Mówiąc bardziej obrazowo, pojawiła się recepta na dobrobyt i raj na ziemi dla biednych tego świata: nie próbujcie już uprzemysławiać swoich gospodarek, ale od razu podłączcie się do Internetu. Koniec historii można osiągnąć bez powtarzania historii. Problem z realizacją teorii „żabiego skoku” był jednak taki sam, jak z koncepcją Lenina. Nikt wcześniej ich nie wypróbował.

Kolejny ważny element myśli Lenina zakładał powolne obumieranie instytucji państwa, jego rozkład jako niepotrzebnego aparatu represji i przymusu w społeczeństwie wolnym od konfliktów klasowych. Co prawda w swej politycznej praktyce Lenin szybko wycofał się z tezy *Państwa i rewolucji*, a jego następcą Stalin tezy te wręcz odwrócił, budując superpaństwo totalitarne. Co nie znaczy, że sama idea nie była słuszna i właśnie zaczęła być z pozy-



tywnym skutkiem realizowana pod koniec XX stulecia za sprawą globalizacji. Jednym z jej efektów jest pojawienie się *powerless state*, bezsilnego państwa, które utraciło klasyczną suwerenność na swym terytorium. Tradycyjne państwo, produkt pokoju westfalskiego z 1648 roku musiało skapitulować i oddać władzę w większości sektorów. Nie może już prowadzić niezależnej polityki gospodarczej, nie może prowadzić niezależnej polityki socjalnej, staje się coraz bardziej bezsilne w walce z międzynarodową przestępczością i terroryzmem. Państwo jest, ale jakoby go nie było, w swej polityce ulegając niezliczonym „obiektywnym” koniecznościom narzucanym przez wolny przepływ kapitału, wolny globalny rynek, wolny przepływ siły roboczej, wolny przepływ informacji itd. W zasadzie, staje się, jak przekonują najbardziej przekonani ideologowie neoliberalizmu, niepotrzebne, bo jest zbędnym narzędziem opresji i ucisku hamującym swobodną działalność wolnego rynku.

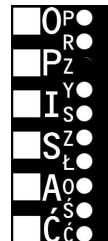
Dalej jednak pamiętamy, że w komunizmie miał nadejść kres pracy najemnej. I co się dzieje? Jeremy Rifkin rzeczywiście mówi o końcu pracy. Kategoria społeczna pracowników najemnych, utrzymujących się z pensji, liczebnie maleje, wypierana przez różne formy świadczeń kontraktowych. W zapomnienie odeszło stałe i pewne zatrudnienie, dziś każdy jest przedsiębiorcą sprzedającym swoje usługi i podlega Schumpeterowskiemu prawu twórczej destrukcji i kreacji. (Dla rzetelności należy dodać, że nie wszyscy z analizami Rifkina się zgadzają. Richard Florida badający zjawisko kształtowania się w USA klasy twórczej twierdzi, że jej członkowie preferują stałe formy zatrudnienia).

Ale fundamentem teorii Lenina był jej uniwersalizm. Przypomnijmy, że na początku wieku XX dominującym kodem komunikacyjnym był nacjonalizm, z imperialistycznym umocowaniem. I wojna światowa była katastrofalnym paroksyzmem, skutkiem starcia tych niekompatybilnych, par-

tykularnych kodów nacjonalistycznych. Choć wojna była Leninowi na rękę, to nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego większość partii socjaldemokratycznych i robotniczych poparła politykę swoich rządów. Wojna wcale nie pomogła w zdobyciu przez Lenina władzy w Rosji, ale nie pomogła w realizacji idei światowej rewolucji. Trzeba było na to czekać do 1989 roku, kiedy Fukuyama powtórzył za Heglem wiadomość o końcu historii. Wtedy też cele Lenina spełniły się. Nadeszła, według określenia filozofa włoskiego Paola Virno, epoka komunizmu kapitału. Więcej, jest to komunizm w wersji leninowsko-trockistowskiej, komunizm polegający na permanentnej, globalnej rewolucji, której istotą jest „ciągły przewrót w produkcji, bezustanne wstrząsanie wszystkimi stosunkami społecznymi, wieczna niepewność i wieczny ruch”.

Czy więc rzeczywiście komunizm kapitału wieńczy historię? Rewolucjoniści przedwcześnie ogłosili zwycięstwo. Doświadczenie poprzednich rewolucji pokazuje, że po szalonych dniach przewrotu, po radosnej nocy karnawału nadchodzi kac. Każda rewolucja kończyła się termidorem, restauracją starego porządku w nowych szatach. Napoleon we Francji, Stalin w Rosji. Nie inaczej dzieje się dzisiaj.

Komunizm kapitału nie może oznaczać końca historii, bo oznaczać by musiał w konsekwencji koniec kapitalizmu samego. Bo kapitalizm nie może istnieć bez instytucji silnego państwa (co znakomicie dowodzi Krzysztof Pomian w tomie esejów *Oblicza XX stulecia*). To ono jest gwarantem praw kapitału do akumulacji, poprzez ustanawianie i egzekwowanie monopolu i podtrzymywanie globalnego systemu nierównowag umożliwiających ruch kapitału we właściwym kierunku. Państwo jest gwarantem przyszłości, której kapitał potrzebuje po to, by móc zaciągać u niej pożyczki – cały współczesny system finansowy działa tylko dlatego, że finansuje go dług zaciągnięty u naszych prawników. Dług to dosłowny – większość instrumentów finansowych ucze-



E dwin bENDyk,

pionych jest nie realnej wartości, ale nadziei przyszłych zwrotów, które nastąpią, jeśli świat mimo całej swej rewolucyjnej zmienności będzie rozwijał się w przewidywalnym kierunku. I dług mniej jasny, polegający na przetrzuceniu zapłaty kosztów zewnętrznych dzisiejszej produkcji (na przykład kosztów degradacji środowiska naturalnego) na przyszłe pokolenia.

Dlatego ktoś musiał powiedzieć „dość”, zahamować niekontrolowany rozwój rewolucji, wziąć ją w karby, gdy już osiągnęła cel – zburzyła świat, jaki znaliśmy. Tym kimś jest niewątpliwie George W. Bush, Napoleon i Stalin w jednej osobie. Ciągłe przekonany o uniwersalnym charakterze swojej misji, jak Napoleon gotów jest nieść na ostrzach bagnatów idee liberalnej demokracji w świat. Jednocześnie jednak, podobnie jak Stalin w radzieckiej Rosji, nie patrząc na ideologiczne zaplecze (konserwatyści amerykańscy zawsze byli zwolennikami małego państwa, przynajmniej do czasów Newta Gingricha) rozbudowuje aparat państwa amerykańskiego w skali niespotykanej od kilkudziesięciu lat. I jednocześnie, mimo aktywnie promowanego uniwersalizmu prowadzi unilateralną politykę służącą wzmocnieniu własnego państwa: nie podpisuje porozumienia z Kyoto ograniczającego emisję gazów cieplarnianych, wprowadza protekcyjne taryfy na stal, subwencjonuje amerykańskie rolnictwo w skali większej niż Unia Europejskie swoje.

Bush, burzyciel i restaurator w jednym, twórca pierwszego ponowoczesnego Imperium budzić musi obrzydzenie podobne temu, jakie wywoływał w salonach starej Europy parweniusz Napoleon. Obrzydzenie i strach, bo siła jego rewolucyjnej armii jest niezrównana. Czy to przypadek, że właśnie za Busha została wprowadzona w życie największa od czasów Napoleona rewolucja w wojskowości? Genialny wynalazek *levee en masse* Korsykańczyka zastąpiła koncepcja „Network Centric Warfare”. Bonaparte rzucił do walki sól francuskiej ziemi – lud. Teksańczyk rzucił sól ziemi amerykańskiej

– technologię. Czyż zresztą błyskawicznie rozegrana bitwa o Bagdad w 2003 roku nie przypomina triumfu Napoleona pod Jeną w 1806, po której to bitwie Hegel ogłosił po raz pierwszy koniec historii?

Jeśli historyczne analogie cokolwiek znaczą i mają jakikolwiek sens, to można sobie wyobrazić, że demokratyczni monarchowie Unii Europejskiej marzą teraz o powtórzeniu Kongresu Wiedeńskiego. Trzeba przywrócić porządek, wziąć ołówki, cyrkle i linijki, by podzielić świat na nowo, chaos nie może trwać wiecznie. Niepowstrzymana póki co amerykańska armia napotkać może swoje Waterloo. Przypomnijmy, że właściwą przyczyną porażki Napoleona w 1815 roku była nie tyle klęska na polu bitwy, co klęska polityczna we Francji – parlament odmówił finansowania dalszej wojny. Czy i kiedy Bush straci polityczne poparcie w swoim kraju? Ostatnie wybory prezydenckie w USA pokazały, że Amerykanie kochają Busha nie mniej niż Francuzi kochali Napoleona.

Tyle że w istocie spór między Imperium a europejskim *ancien regime'em* nie ma większego znaczenia. Lub inaczej, ma znaczenie o tyle, o ile służy emancypacji prawdziwego podmiotu historii. Jak wiadomo w wyniku Rewolucji 1789, napoleońskiej epopei i jej finału podczas Kongresu Wiedeńskiego w 1815 roku wyłoniła się nowoczesna, kapitalistyczna Europa. Na scenie pojawili się dwaj nowi hegemonii, najważniejsi aktorzy historii: kapitał i klasa robotnicza.

Już się wydawało, że na skutek rewolucji ponowoczesnej, kapitał osiągnął lenińskie cele, ustanawiając komunizm przy jednoczesnej likwidacji klasy robotniczej. Na gruzach kapitalizmu nowoczesnego powstaje specyficzne społeczeństwo bezklasowe. Jak zauważa Slavoj Žižek w *Revolution at the Gates*, znikła nie tylko klasa robotnicza. Zanikać zaczyna również klasa średnia, owa drobna burżuazja, najważniejszy beneficjent 1789 roku. Dlaczego? Postawą jej uformowania i późniejszej poli-

tycznej siły była prywatna własność, odzwierciedlająca zakumulowany kapitał.

Tylko że w kapitalizmie ponowoczesnym najważniejszym środkiem produkcji przestaje być kapitał, a staje się język i zawarte w nim kompetencje symboliczne: wiedza, kreatywność, zdolność przetwarzania symboli. Konkretna, niepodzielna, materialna własność *bourgeois* traci na znaczeniu w czasach, gdy motorem gospodarczego rozwoju są symbole i cyfry. Oprogramowanie, gry komputerowe, filmy, sztuka – to się liczy, z tego żyje Imperium. Przemysł praw autorskich (*copyright industry*) jest największym sektorem amerykańskiej gospodarki, sektor ten ma też największy udział w amerykańskim eksporcie. Nawet w mającej coraz mniejsze znaczenie, jeśli chodzi o kreowaną wartość dodatkową produkcji materialnej głównym nośnikiem wartości jest przetworzona myśl, a nie materia.

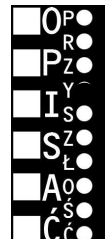
Czy własność intelektualna, z definicji krucha, podzielna, o ograniczonym czasie trwania może być podstawą dla utworzenia stabilnej, ponowoczesnej klasy średniej? Klasa średnia musi odejść na śmietnik historii, podobnie jak klasa robotnicza. Co się wyłoni po tej hekatombie? Pozostanie z jednej strony zwycięski kapitał, monopolizujący formalne prawa do własności intelektualnej w postaci patentów, praw autorskich, znaków towarowych. Ale podobnie, jak kapitał nowoczesny nie mógł istnieć bez klasy robotniczej, proletariatu, który swoją pracą wytwarzał wartość dodatkową, tak kapitał ponowoczesny nie może funkcjonować bez digitariatu, robotników symbolicznych, pracowników intelektualnych świadczących kapitałowi swą pracę. Ale jaką pracę? Co jest przedmiotem obrotu na pono-

woczesnym rynku pracy? Kompetencje językowe i afekty. Formalna wiedza, umiejętność uśmiechania się w odpowiednim momencie, empatia na żądanie, zdolność prowadzenia kowersacji, a jednocześnie asertywność (jako gwarancja wysokiej wydajności) nie są już wyłącznie kompetencjami określającymi cechy jednostki, lecz podstawowymi czynnikami produkcji.

Z tego też względu coraz większego znaczenia nabiera inwestowanie w siebie (niekończące się kursy i szkolenia podnoszące zdolności produkcyjne jednostki), przy jednoczesnej malejącej roli inwestycji w czynniki obecnie nieprodukcyjne, jak nieruchomości. Akcent z posiadania przesuwa

się, jak dokumentuje Jeremy Rifkin w *Wiek u dostępu* na możliwość dostępu. Posiadać należy jak największe kompetencje osobiste, resztę można za odpowiednią opłatą wynająć. Po co być właścicielem domu, skoro w epoce totalnej mobilności siły roboczej lepiej nie ograniczać swobody ruchów uciążliwą nieruchomością. Idea czasowego udostępniania, zasada *pay per use* i outsourcingu zaczyna dominować nie tylko w świecie biznesu, ale i w życiu prywatnych ludzi. Jak pisze Rifkin, dziś nie kupuje się rzeczy, ale dostęp do nich (co Slavoj Žižek komentuje, przypominając, że prekursorem takiego stanu rzeczy był stalinowski socjalizm, ustrój bez własności, gdzie pozycję w społecznej drabinie określał dostęp do przywilejów, władzy itd.). Kupując grę komputerową lub edytor tekstu MS Word, nie jesteśmy ich właścicielami – płacąc otrzymaliśmy jedynie licencję na użytkowanie tego oprogramowania według ściśle określonych reguł. Współczesny rolnik kupujący ziarno od Monsanto nie jest jego właścicielem, uzyskał jedynie licencję na wysiew i już na-

E dwin bENDyk, polityczny epilog „Antymatrixa”



stępnego roku nie może powtórzyć zasiewów z zebranego ziarna. W takim świecie miejsce złodziei zajmują piraci i hakerzy, nielegalnie kopiujący software lub łamiący kody dostępu na przykład do dekodów płatnej telewizji.

W tym momencie zmierzyć się musimy z dialektyką ponowoczesności. Oto język staje się środkiem produkcji. Ale przecież język też jest najważniejszym narzędziem socjotwórczym, przynależy do świata życia, do świata działania komunikacyjnego, którego cechą nie jest racjonalność instrumentalna, ale działanie zgodnie z regułami rozumu komunikacyjnego, którego celem jest osiągnięcie porozumienia.

W kapitalizmie ponowoczesnym kapitał przypuszcza szturm na sam fundament świata życia, próbuje skolonizować jego ostoję – język. Czyni to na wiele sposobów. Po pierwsze, powtarza operację „enclosure”, grodzenia gminnych łąk. Operacja ta w XVII i XVIII wiecznej Anglii doprowadziła do pierwotnej akumulacji kapitału i przyspieszyła utowarowienie rolnictwa. Dzięki temu m.in. stała się możliwa rewolucja przemysłowa pod koniec XVII w. Dziś, operacja grodzenia powtarza się – wolność komunikacji ograniczana jest poprzez szalony rozwój idei praw autorskich. Ponadto inne formy językowej ekspresji, ekspresji w innych, ale równoprawnych dla mowy kodach, jak oprogramowanie i DNA są „grodzone” patentami.

Zagrodzone, sprywatyzowane obszary wyłączane są ze sfery publicznej, zubożając ją, ograniczając możliwość tworzenia przestrzeni wspólnej, najważniejszego skutku nieskrępowanej komunikacji. Ale to tylko jeden aspekt. Dalszą konsekwencją grodzenia i kolonizacji języka przez kapitał jest utowarowienie. Jak już wspominałem, ponowoczesny pracownik intelektualny wystawia na rynek pracy swoje kompetencje językowe i afekty, poddając je tym samym pieniężnej ocenie, ocenie pod względem wartości użytkowej. Pojawia się zatem pytanie: czy ktoś, kto w godzinach pracy

świadczy płatną miłość, po godzinach zdolny będzie jeszcze do prawdziwej miłości? Co zwycięży: kapitał, narzucający logikę płatnej miłości na cały świat życia, czy też świat życia?

Tym samym dochodzimy do kluczowego problemu: czy możliwa jest jeszcze wolność, czy można jeszcze ocalić miłość przed logiką utowarowienia, czy można ocalić świat przed totalnym sprostywowaniem? Czy możliwa jest rewolucja, skuteczne przeciwstawienie się logice kapitału, która jak widać prowadzi już nie tylko, jak u Marksa, do alienacji, ale znacznie dalej, bo wiedzie prostą drogą do skurwienia? To chyba Breł śpiewał: „Nie mów mamie, że pracuję w reklamie, ona myśli, że jestem pianistą w burdelu”.

Odpowiedź nie jest prosta. Po pierwsze, odrzucić trzeba mrzonki o możliwości rewolucji przeciwko systemowi. Jesteśmy częścią systemu, możemy działać jedynie od środka. Neokomuniści Michael Hardt i Antonio Negri w *Multitudes*, sequellu do swojego bestsellera *Empire* odrzucają jako utopijny Habermasowski podział społecznego świata na system rządzony logiką racjonalności instrumentalnej i wolny świat życia. Obie te sfery są z sobą związane dialektycznym węzłem, każdy w mniejszym lub większym stopniu poddany jest w każdym aspekcie życia presji kapitału. Kapitał dysponuje dziś mocą biopolityczną, operując bowiem w sferze języka ma bezpośredni i ciągły wpływ na tworzenie społecznego ciała. Nie możemy wyzwolić się spod władzy tego systemu, radosna wizja zerwania wszystkich więzów jest nierealna. Każdy wyrażany w języku akt protestu logika ponowoczesnego kapitału odbiera jako bodziec rynkowy, wszystko co wyartykułowane może być przedmiotem handlowej oferty. Protestujemy przeciwko degradacji środowiska naturalnego? Świetnie, to znaczy że lepiej będą się sprzedawać produkty pakowane w szare pudełka.

Czy oznacza to, że protest nie ma już żadnego sensu, jest w istocie niemożliwy,



bo zamiast osłabiać, paradoksalnie wzmacnia system? Zdaniem pesymistów tak niestety się stało. Filozof Wojciech Chyła nie ma wątpliwości, że staliśmy się elementami wielkiego systemu biotechnomedialnego, w którym wszystkie popędy są utowarowione, możliwość protestu została zniesiona poprzez destrukcję języka, a dokładniej destrukcję językowych kodów (we wszystkich wspomnianych wcześniej sferach: mowie, czyli antroposferze; oprogramowaniu, czyli technosferze i DNA, biosferze).

Hardt i Negri takimi pesymistami nie są, przeciwnie, tryskają optymizmem. Są przekonani że ponowoczesny kapitalizm musi jednak doprowadzić do samozagłady pod ciężarem sprzeczności (wyrażonych w niemożliwym do utrzymania komunizmie kapitału). Hardt i Negri sądzą, że działania Busha w istocie nie prowadzą do budowy amerykańskiego Imperium, nie są więc wariantem przewrotu termidoriańskiego. W efekcie trwającej obecnie zawieruchy wyłoni się nowy porządek świata, globalne Imperium, które będzie musiało wypracować nowe pojęcia suwerenności, władzy, politycznej reprezentacji.

Sytuacja ta jest szansą dla zaistnienia nowego podmiotu na globalnej scenie historii, *multitudo*, wielości. Czym jest wielość? Hardt i Negri twierdzą, że odrzucić należy transcendentalne koncepcje podmiotu politycznego i suwerenności, wywodzące się od Hobbesa. Lud jako podmiot nie istnieje, nie istnieje naród, nie można legitymizować już władzy jako pochodzącej od najwyższego, monolitycznego suwerena, bo jest to koncepcja, w której jeszcze ciągle żywa jest europejska tradycja boskiego pomażania i siłą rzeczy ogranicza się do koncepcji państwa narodowego.

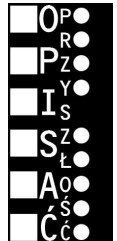
Nie ma ludu, jest *multitudo*, różnorodność zindywidualizowanych i niepowtarzalnych jednostek, ich pojedyncze głosy nie dadzą się wyartykułować w postaci abstrakcyjnego, wspólnego i pojedynczego głosu. *Multitudo* nie zna hierarchii, ma strukturę

sieciową, skupia zarówno biednych tego świata, jak i wykorzystywany w cyfrowych sweatshopach wysokokwalifikowany digitalariat. *Multitudo* jest pełen sprzeczności, bo gdy działa, jak w Seattle w 1999 roku, łączy w karnawałowym porywie ludzi o różnych rodowodach, dla których wspólnym mianownikiem jest sprzeciw. Jest pełen sprzeczności, bo wyraża demokrację absolutną (tu Hardt i Negri odwołują się do *Traktatu politycznego* Spinozy, widząc w tym filozofie prekursora współczesnego neokomunizmu).

Sprzeciw ten, Hardt i Negri idą tropem Deleuza, ma charakter twórczy, bo nadwątlą logikę systemu, jest aktem subwersji, który, jak w Niklasa Luhmanna teorii systemu społecznego (którego Hardt i Negri również są admiratorami) wywołuje kolejny, rekurencyjny cykl, w wyniku którego elementy składającej się na system sieci ulegają rekonfiguracji. Rewolucja, jako jednorazowy akt zmiany świata przemocą wydaje się więc niemożliwa. Walka musi mieć charakter cykliczny, odbywać się w *circuits of struggles*, w nieustającym rekurencyjnym procesie działania na system. I jest to walka *par excellence* polityczna, bo przecież zgodnie z Foucault władza jest skutkiem procesów komunikacyjnych w społecznej sieci. Tak więc każda zmiana jej struktury musi mieć wpływ na władzę, zmienia jej umocowanie, potrafi wręcz ją zakwestionować, odsłonić całą jej umowność, jak właśnie stało się w Seattle.

Wielość jawi się jako podmiot polityczny, który nie szuka tradycyjnej, nowoczesnej parlamentarnej reprezentacji, bo ta nie ma już w epoce pop-polityki żadnego realnego znaczenia. Wielość uderza w sieć nie posługując się jakimkolwiek klasycznym legalnym umocowaniem, bo jest wyrazem demokracji absolutnej i jako jej przejaw wpływa na władzę bezpośrednio.

Zwróćmy uwagę, że obecnie większość ważkich problemów artykułowanych i wprowadzanych do publicznego dyskursu jest właśnie przez wielość: sprzeciw wobec



E dwin bENDyk,

patentowania software'u, protesty przeciwko degradacji środowiska naturalnego, obrona praw *sans papiers*, imigrantów pozbawionych jakichkolwiek praw obywatelskich – wszystkie te kwestie podnosi wielość, uderzając precyzyjnie i celnie, zmuszając do działania formalną, zdegenerowaną demokrację przedstawicielską, zajęta na co dzień epatowaniem elektoratu populistycznego miałkami debatami.

Hardt i Negri zdają sobie sprawę, że w karnawałowych cechach *multitudo* wyraża się w istocie demoniczny charakter, że w wielości wyzwala się nadmiar życia, którego żaden system nie jest w stanie zawłaszczyć. Ten właśnie nadmiar, ta ciemna siła kryje nieskończony potencjał kreacji, ale i destrukcji (11 września 2001 to również przejaw działania *multitudo*). I nadmiar ów powoduje, że *multitudo* zawsze, w kolejnych cyklach walki z kapitałem będzie zwyciężki. Co ważniejsze, siła *multitudo* nie jest siłą nagą, lecz jedynie trwożącym możliwym pokazem, że ciągle przynajmniej część komunikacji społecznej jest poza zasięgiem systemu, że skutkiem tej wolnej komunikacji ciągle może być kolejny cykl walki.

Slavoj Žižek nie jest takim optymistą, jak autorzy *Empire* i *Multitude*. W *Revolution at the Gates* wzywa do powrotu do Lenina. Nie do Lenina historycznego, który jest bardzo już martwy, ale do Lenina twórcy pewnej idei i do Lenina twórcy historii, człowieka, który podejmował decyzje, w sytuacji gdy świat znajdował się, by użyć pojęcia z teorii katastrof, w punkcie bifurkacji. W takim momencie wystarczy niewielki impuls, ot właśnie działanie człowieka w Rosji niezbyt znanego, by popchnąć bieg wydarzeń zgodnie z pewną trajektorią. Lenin, do jakiego wraca Žižek, to stojący na górze obserwator, który w pewnym momencie decyduje się popchnąć w wybranym przez siebie kierunku kulkę śniegową. Nie sposób już później jej zawrócić, a jeśli moment i kierunek był dobrze wybrany, mała kulka porывa za sobą lawinę.

Bo czy dziś świat nie znalazł się w stanie podobnego chaosu, jak w środku I wojny światowej? Robert Cooper, daleki od przesady brytyjski dyplomata twierdzi w „The Breaking of Nations”, że Europa przeżyła trzy dziejowe kataklizmy i epoki chaosu: w Średniowieczu Wojnę Stuletnią, potem otwierającą nowoczesność Wojnę Trzydziestoletnią, supernowoczesne obie wojny światowe. I konkluduje: XXI wiek będzie jeszcze gorszy, chaos jeszcze głębszy. Czy więc znowu nie pojawi się ktoś taki jak Lenin, by popchnąć kulkę i wywołać lawinę? Czy może też był nim bin Laden, lub raczej uosabiany przez niego paroksyzm destrukcyjnej energii *multitudo* wyzwolonej 11 września 2001, która popchnęła świat w kierunku globalnej wojny domowej i permanentnego stanu wyjątkowego?

Žižek, podobnie jak Hardt i Negri wierzy, że podczas protestu w Seattle 30 listopada 1999 roku narodziła się nowa polityczna siła, powstał fenomen Ludu z Seattle, na scenę wkroczyła siła zdolna skutecznie przeciwstawić się globalnej logice kapitału. Ale w przeciwieństwie do Hardta i Negriego, Žižek nie wierzy, by sieciowe, amorficzne *multitudo* było w stanie wyartykułować radykalną politykę o cechach emancypacyjnego projektu. I tu wraca do Lenina, przekonany jak wódz rewolucji, że politykę radykalną w sposób skuteczny może artykułować jedynie partia. W innym przypadku każdy protest, nawet najbardziej spektakularny będzie udomowiony przez system.

Rzecz jasna, opozycja Žižek kontra Hardt i Negri nie wyczerpuje wszystkich możliwości dalszego rozwoju. Wielość może być siłą rewolucyjną, może być też siłą reakcyjną, o czym przypominają krytycy *Empire*. Współczesny populizm, powrót rasizmu, odnowienie kodów nienawiści i ksenofobii to również reakcje wielości na zmienność i chaos. Poza tym nie jest prawdą, że sieciowa struktura wielości wyklucza hierarchie. Sieci społeczne bardzo łatwo ulegają specyficznej hierarchizacji i zjawia-



sko to, nazwane przez Alexandra Barda i Jana Söderqvista „netokracją”, już występuje. Stratyfikacja w sieciach przebiega według klucza merytokratycznego, ale specyfika sieciowej dynamiki powoduje, że w społeczeństwie nowoczesnym rozwarstwienie jest nawet większe niż w feudalizmie. Obowiązuje zasada „zwycięzca bierze wszystko”.

Bard i Söderqvist charakteryzują netokratów jako nową elitę społeczną, która zastąpi kapitalistów, tak jak ci wcześniej wyparli arystokrację. Netokraci hołdują logice paradoksalnej, ich celem nie jest proste pomnażanie kapitału, lecz pomnażanie wpływu. Osiągają to, umiejętnie wykorzystując dla swych celów sieć i jej logikę, poddając kontroli procesy komunikacyjne. Netokratą jest na przykład Linus Torvald, który potrafił uruchomić drzemiące w społecznej sieci zasoby, by stworzyć ruch Linuksa, rzucający na kolana najbogatsze koncerny. Netokratą jest Subcommandante Marcos, który wykorzystał moc ukrytą w sieci, by wygrać wydawałoby się beznadziejną walkę Indian z Chiapas z meksykańskim rządem. I jest netokratą Osama Bin Laden, który rzucił na kolana największe mocarstwo.

Netokracja to elita społeczeństwa sieciowego, społeczeństwa w którym hegemoniczną formą wytwarzania wartości jest gospodarka oparta na paradygmacie informacjonalistycznym. O ile netokraci do superelita wpływu i władzy tego świata, to dominującą klasą jest klasa twórcza, *creative class* zidentyfikowana przez Richarda Floridę. Liczy ona w Stanach Zjednoczonych 38,3 milionów ludzi, 30 procent zatrudnionych – to ludzie, którzy zarabiają na życie, tworząc i przetwarzając symbole. Wśród nich wskazać należy supertwórczy rdzeń, 15 milionów ludzi zajmujących się wymyślaniem innowacji naukowych, technicznych, społecznych, kulturowych. Klasę twórczą obsługuje klasa usługowa, najliczniejsza, bo licząca 55,2 milionów pracowników. Wartość „produkcji” twórczych gałęzi gospodarki wyniosła w 2000 roku w USA

blisko bilion dolarów. Sektor ten ma też największy udział w amerykańskim eksporcie.

Zmiana gospodarki z produkcyjnego na twórczy ma olbrzymie konsekwencje społeczne i polityczne. O ile w epoce produkcyjnej czynnikiem sprzyjającym rozwojowi był kapitał społeczny, oparty na sile związków międzyludzkich, zaufaniu i poszanowaniu norm, tak w epoce twórczej liczy się kapitał twórczy. Jak odkrywa Florida, jest on wprost proporcjonalny do otwartości, mobilności, kulturowego i technologicznego wyrafinowania ośrodka lub miasta. I odwrotnie proporcjonalny do poziomu kapitału społecznego. Z badań Floridy wynika, że osłabienie więzi społecznych, syndrom samotnych graczy w kręgle opisywany przez Roberta Putnama to już nie tyle skutek postmodernizacji, ile warunek rozwoju ponowoczesnej, twórczej gospodarki. To odkrycie musi rzecz jasna budzić opór u wszystkich, którym drogie są „tradycyjne” wartości. Stąd też zarówno konserwatywna, jak i fundamentalistyczna kontrofensywa, próba przywrócenia starego ładu, starych norm, powrót do dyskursu opartego na mocnych, znanych sensach, bo ten nowy świat jest zbyt przerażający, by go nawet próbować opisać.

III. POLEMOS: COOL POLONIA

Interесujące byłoby ponowne odczytanie wyjściowego programu *Solidarności* – nie ma tam nic na temat kapitalizmu. Więcej natomiast na temat społecznego marzenia. Sądzę, że powinniśmy walczyć o to dziedzictwo, jest to sprawą zasadniczą, w przeciwnym razie – jeśli to marzenie o zbiorowej solidarności zniknie – będziemy żyli w przerażającym społeczeństwie, w którym rywalizacja rynkowa będzie współistniała z nowym rodzajem trybalizmu. Strasznie będzie się żyło w takim społeczeństwie. My – państwa postkomunistyczne, ujmując to w marksistowsko-me-

